

AUTOREFERAT

1. MAGDALENA HANYSZ-STEFANŃSKA

2. Na podstawie oceny ogólnego dorobku artystycznego i przedstawionej rozprawy doktorskiej pt. „Jedność z wielości” oraz po złożeniu wymaganych egzaminów uzyskałam stopień naukowy Doktora Sztuki w dziedzinie: sztuki plastyczne, w dyscyplinie sztuki piękne nadany uchwałą Rady Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku z dnia 28.01.2010 roku.

Recenzenci w przewodzie doktorskim:

prof. nadzw. Alina Jackiewicz – Kaczmarek

prof. Chris Nowicki

promotor:

dr hab. Waldemar Marszałek

3. Informacje o dotychczasowym zatrudnieniu w jednostkach naukowych/artystycznych:

– od 01.01.2006 – asystent na Wydziale Malarstwa i Grafiki w Pracowni Linorytu Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku

– od 01.09.2007 – asystent na Wydziale Grafiki w Pracowni Podstaw Grafiki Artystycznej oraz w Pracowni Linorytu dla Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku

– od 01.09.2009 – do dzisiaj – prowadzenie Pracowni Podstaw Grafiki Artystycznej na Studiach Niestacjonarnych, na Wydziale Grafiki ASP Gdańsk

– od 01.10.2013 – adiunkt na Wydziale Grafiki w Pracowni Podstaw Grafiki Artystycznej oraz w Pracowni Linorytu dla Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku

4. Zgodnie z wymogiem formalnym wskazuję zestaw grafik o wspólnym tytule „Bestiariusz linorytnika” jako dzieło aspirujące do spełnienia warunków wynikających z art. 16 ust. 2 z dnia 14 marca 2003 r. o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki (Dz. U. nr 65, poz. 595 ze zm.)

Na zestaw składają się następujące grafiki wykonane głównie w technice linorytu kolorowego oraz algrafii, intaglio, akwaforty, akwatinty i suchej igły: „Smok”, „Robak”, „Sowa”, „Gdańskie opowieści”, „Rowerzysta”, „Francuz”, „Dom dusz”, „Rowerowe szachy”, „Męski raj-d”, „Jeździec bez głowy”, „Jabłkowity nosorożec”, „Kogut w różanym ogrodzie”, „Stadnina koni”, „Polowanie” , „Zielony/żółty koń”, „Okapi”, „Leonardo”, „Ręczne tortury” , „Wkołnierzykach”, „Tort rybny”, „Konik”, „Na mieliźnie”, „Wiatrak”, „Tajlandzki słowik”, „Hazard”.

**Omówienie zrealizowanego ww. osiągnięcia
artystycznego oraz informacja o kierunkach działania,
zainteresowaniach i metodach pracy stosowanych
w pracy artystycznej, twórczej a także dydaktycznej
i organizacyjnej.**

Nota biograficzna

Urodziłam się w 11 października 1970 roku w Gdyni, gdzie mieszkam do dziś. Rodzice moi Piotr – kapitan Żeglugi Wielkiej i mama, Krystyna – spedytor, obecnie na emeryturze. Ukończyłam Sportową Szkołę Podstawową nr 14 oraz Liceum Ogólnokształcące nr VI w Gdyni.

W roku 1989 dostając się za pierwszym podejściem zostałam studentką Wydziału Malarstwa I Grafiki na Kierunku: malarstwo. Studia skończyłam z wyróżnieniem dyplomem dnia 24 października 1994 roku w Pracowni prof. Macieja Świeszewskiego oraz aneksem w Pracowni prof. Czesława Tumielewicza, praca teoretyczna pt. „Kilka słów o natchnieniu”.

W roku 1999 wyszłam za mąż za Roberta Stefańskiego, z którym pozostaje w związku małżeńskim do dziś. W roku 2001 urodziła nam się córka Kinga obecnie uczennica I klasy gimnazjum nr 24 przy III LO w Gdyni.

Tytuł doktora sztuki uzyskałam w styczniu roku 2010, temat pracy doktorskiej: „Jedność z wielości”.

Posiadam prawo jazdy. Obsługa programów komputerowych Microsoft Excel, AutoCAD w stopniu podstawowym. Język angielski w stopniu dobrym.

Zainteresowania: książki, film, kynologia, spacerowanie.

Jeślibym miała pokusić się o określenie jednym słowem mojej dotychczasowej twórczości powiedziałabym: optymizm. Robię grafiki, czasami maluję i od 20 lat, bo od tylu lat jestem tytularnym artystą plastykiem staram się patrzeć na świat przez różowe okulary. Moją twórczość można zaliczyć chyba śmiało do tej z gatunku optymistycznej „Na przekór wszystkim tym co zasmucają świat, uśmiecham się przez łzy”. Choć tematyka jaką podejmuję jest całkiem poważna i różnorodna. Jestem obserwatorem, komentatorem wydarzeń z życia toczącego się obok mnie, czasami wprost wchodzę w głąb siebie i wyciągam na światło dzienne moje osobiste bebechy, innym znów razem wytykam błędy polityków w odległej krainie. Inspirują mnie zachowania ludzkie, głupota, biurokracja, uniwersalizm, moje przeżycia, doznania. Usłyszane strzępki wiadomości, zarys czyjeś twarzy, kolor materiału spódnicy – tą pokawałkowaną rzeczywistość zapamiętuję i przetwarzam w sobie tylko znanych, a właściwie nieznanych czeluściach szarych komórek. Moja działalność artystyczna jest zupełnie intuicyjna. Nie planuje cykli, formatów i kolorystyki. Nagle wewnętrzny głos podpowiada mi to wszystko, powoduje mną jakąś nieokreślona siła, która pcha mnie do działania i „skubania” nowej pracy. Obawiam się, by zbyt nie rozkładanie mej działalności na czynniki pierwsze, szukanie przyczyn nie stało się zarzewiem, że stracę całą łatwość i swobodę tworzenia oraz szczerość, gdyż jestem bardzo prawdomówna w tym co robię. Nie szukam poklasku, nie podążam za modą, za nowościami, nie chcę epatować nowoczesnością czy tanią prowokacją.

Na samym początku drogi twórczej moja działalność artystyczna umożliwiała mi pozbycie się emocji, zrzucenie balastu przeżyć, to był dla mnie taki rodzaj leku na „całe zło”, wybawienia dla mnie samej. Chwilami ocierałam się o hedonizm – to czyste szczęście przelewać na papier swoje marzenia, emocje, móc je wykrzyczeć, pozostając jednak anonimowym – tak mi się przynajmniej wydawało. Nie zastanawiałam się kompletnie nad odbiorcą kim jest, kim mógłby być? Działałam szybko i bez namysłu, bo chwilowe emocje mogły się za chwilę ulotnić, zachwycona moją świeżo nabytą umiejętnością robienia linorytów, próbując osiągnąć pełnię technicznie, niedoścignionego ideału. Wracam teraz myślą do czasów studenckich i tuż po studiach (lata 1991– 2000).

W tym miejscu muszę zacytować M. C. Eschera, gdyż ubrał w piękne słowa dokładnie to co czułam wtedy i teraz:

„Każdy, kto od najmłodszych lat pracuje nad opanowaniem technik graficznych, osiąga poziom, na którym zaczyna uważać warsztat za najwyższą wartość. Cały czas zajmuje się doskonaleniem rzemiosła, które absorbuje jego myśli do tego stopnia, że nawet wybór tematu podporządkowuje chęci przestudiowania jakiegoś wybranego problemu technicznego. Trzeba przyznać, że ogromną satysfakcję czerpie się z osiągnięcia wprawy, dogłębnego zrozumienia właściwości materiału i ręki oraz wiedzy, jak posługiwać się dostępnymi narzędziami, a przede wszystkim własnymi rękami! Ja sam spędziłem wiele

lat w tym stanie zauroczenia. Jednak nadszedł moment, gdy łuski opadły mi z oczu. Odkryłem, że warsztat nie jest moim jedynym celem...

Proszę wybaczyć mi śmiałość za porównanie się do tego wielkiego artysty, ale ja też z czasem zaczęłam bardziej delektować się tworzeniem, umieszczałam w swoich pracach wątki symboliczne („Petra w dżungli” [str. 278]), bardzo osobiste („Tyle mam na głowie” [str. 228]) zainteresowałam się iluzją stworzenia przestrzeni („Tajemniczy ogród” [str. 269]) w swoich grafikach, zaczęłam jeszcze bardziej rozsmakowywać się w kolorze. Zaczyna liczyć się dla mnie odbiorca. Celem moim stało się przekazanie odrobiny piękna innym, małych chwil szczęścia. Wydaje mi się, że ludzkość cechuje kallotropizm, podświadomie szuka pozytywnych wrażeń estetycznych i istnieje to nie tylko u dzieci. Uwielbiam, gdy widzowie wchodzą do zbudowanego przeze mnie świata i szukają w nim przestrzeni dla siebie, znanych sobie wątków, opowiadając mi trochę o sobie. Choć nie było to moim celem teraz dostrzegam, że to ja przede wszystkim odkrywam się przed nimi, mówię poprzez swoje prace o stanie swego ciała i umysłu, otwieram swoje wnętrze. Taki rodzaj nieoczekiwanego ekshibicjonizmu.

Powoli zdaję sobie sprawę, że zawsze niezmiernie ważnym dla mnie był rys indywidualizmu jakim charakteryzowały się moje prace, rodzaj cięcia, faktury, struktury charakterystyczne tylko dla mnie. Chcę by moje prace były rozpoznawalne. To czas uświadamiania sobie siebie samej jako artystki, to czas doktoratu, kiedy wymogi formalne zmuszają do autorefleksji, skrupulatnego rozliczenia się ze swojej twórczości. Wydawało mi się, że ponieważ pracuję „na zakładkę” – zawsze nad dwoma, trzema pracami, mając jeszcze kilka pomysłów w głowie, że otrzymanie doktoratu nie będzie tak znaczące i dla mnie jako dla artystki przejdzie prawie bez echa. Tak się nie stało, gdyż wystawa doktorska i cała praca poświęcona zdobyciu tytułu „dr.” uświadomiły mi, że stałam się Kreatorem. Stworzyłam swój Świat, w którym niepodzielnie władam i rządzę. Moją władzą nie dzielę się z nikim. W tym przypadku jestem egoistą, egocentrykiem. „Doktorat” uświadomił mi również rzecz inną – dokładnie w tym czasie opuszczały mury naszej Uczelni roczniki, którymi zajmowałam się w pierwszym roku pracy – jestem nauczycielem, pedagogiem. A skoro nim jestem i jestem jeszcze artystą mam prawo, a nawet powinność komuś coś uświadomić, pouczyć i nie mówię w tym przypadku o wiedzy oczywistej, którą niejako z urzędu przekazuję moim studentom.

Przygotowując projekty do linorytów zaczęłam przeglądać zakupioną przeze mnie „Panoramę średniowiecza” Roberta Bartletta – bogato ilustrowaną przepiękną książkę i z miejsca średniowiecze mnie urzekło. Nie ma innej epoki tak pełnej niedomówień, sprzeczności i kontrastów, a przede wszystkim fantazji. Zafascynowały mnie średniowieczne bazyliuszki, gryfy, jednorożce i mantrykory opisywane w pełniących funkcje wychowawczą bestiariuszach jako zwierzęta faktycznie istniejące.

Od jakiegoś czasu jestem posiadaczem psa rasy hart angielski – whippet. Aczkolwiek właściwie to nie pies to właściwie bestia. Bo jak inaczej można określić zwierzę biegające z prędkością, jak podają podręczniki kynologiczne do 60 km/h, bez najmniejszych problemów pokonujące wszelkie przeszkody terenowe w postaci rowów, skarp itp. Jego sprawność ruchowa: gibkość zwinność, skoczność są niesamowite i powodują u mnie zawsze, jako u właściciela wrażenie, że właściwie mam kontakt z jakąś istotą o nadprzyrodzonych zdolnościach, a nie ze zwykłym psem. Wrażenie to potęgowane jest jeszcze jego budową fizyczną. Mój hart to naprawdę „skóra i kości” oraz mięśnie. Wystające żebra, dobrze widoczne trzy kręgi kręgosłupa, wklęsnięty brzuch. Pod słońce w niektórych miejscach jest wprost prześwitujący. Za bestię zwykle uważamy coś co jest groźne, czego się boimy, a tu nic bardziej mylnego to „najmilszy i najłagodniejszy pies jakiego można sobie wyobrazić” („Księga psów” Dawid Taylor). Elvis (tak wabi się mój hart) jest totalnym pacyfistą, związanym ze swą rodziną/stadem, którą ochrania na swój psi sposób. Zawsze lojalny, prowadzi proste, nieskomplikowane życie, bez pośpiechu, matactw, plotek i intryg, z jasno wytyczonymi celami. Nie ma wątpliwości, zawsze wie jak zadziałać. Kocha nas bezgranicznie niezależnie od pory dnia czy naszego wyglądu. Na nasz widok zawsze cieszy się tak samo wylewnie, nie ma humorów ani złych dni. Odnoszę wrażenie, że właściwie czasami to on mimo swych „nadnaturalnych” cech jest bardziej „ludzki” niż co poniektórzy ludzie. Niby oczywiście zdają sobie sprawę, że powoduje nim instynkt, jest tylko bezdusznym i bezrozumnym zwierzęciem, ale.... ? Podobno „z badań Instytutu Newspoll z Australii wynika, że kobiety wybierając czworonoga, kierują się takimi samymi kryteriami jak przy wyborze życiowego partnera,... sądzą, że psy są bardziej czułe, lojalne i wiarygodne niż mężczyźni.” Ci zaś, „zdaniem psychologów szukają w psie przyjaciela i współpracownika o podobnej do swojej osobowości” („Mój pies”, marzec 2012, art. „Ona i on czego oczekują od psa?”). Z jakiś więc powodów uczłowiczamy czworonogi, które odczuwają tak jak my ból, smutek, radość, kochają. Więc może jednak mają duszę?

Moja twórczość ma charakter liniowy, nie ma w niej nagłych cięć, radykalnych zmian, to jest raczej powolna ewaluacja, są chwilowe odskocznie, fascynacje, ale główna droga jest jasno wytyczona, ciężko mi w związku z tym zupełnie oddzielać od siebie poszczególne okresy mojej twórczości, wszystko jest ze sobą powiązane, jedno wypływa z drugiego, do tego włącza się życie osobiste, wywierające istotny wpływ na moją działalność artystyczną. I myślę, że właśnie doktorat, bestiariusze i średniowiecze oraz mój pies to geneza pomysłu na bestiariusz graficzny. Linorytowy moralitet ze stworzonymi przeze bestiami, w moim świecie, gdzie czasami ludzie zamieniają się w bestie. „Bestiariusz linorytnika” ma umoralniać, ale nie w sposób sztywny, napuszony i belferski. Pouczać nie można długo, tyradami, to ma być impuls trwający tyle co mgnienie oka, tylko coś poruszający w naszej świadomości. To pogodna

próba byśmy chociażby spróbowali zweryfikować nasze działania, zastanowić się nad sobą samymi, swoim zachowaniem względem osobników tej samej rasy. Może trochę mniej agresji, wyrachowania ?

Od najmłodszych lat rysowanie i malowanie to moje ulubione zajęcie. Nic w tym dziwnego, tak zwykle wspominają czasy dzieciństwa ci, którzy rysowanie i malowanie kontynuują nawet w dorosłym życiu już jako zawód. Trochę niezwykle było u mnie to, że obiektem moich twórczych fascynacji były tylko i wyłącznie konie, potem dołączyły psy. Tego zjawiska nie przerwała nawet wizyta w Pałacu Kultury w Gdyni, gdzie miałam narysować „Rurociąg przyjaźni” (mama mnie więcej na te zajęcia nie zaprowadziła). Tak więc stworami zajmowałam się odkąd pamiętam, ale za pierwsze świadome elementy zestawu habilitacyjnego uznaję trzy prace: „Sowa” [str. 281], „Robak” [str. 282], „Smok” [str. 283]. Są to grafiki wykonane w technice linorytu kolorowego. Te prace nazwałabym raczej rysunkowymi, gdyż splecione linie tworzyć mają określone kształty, a kolory są ze sobą scalone w formie malutkich kropeczek, stanowiąc jednolite tło dla rysunku. Ekspozowane były na 9 th Lessendra World Art Print Annual „Mini Print 2010” w Bułgarii. Te prace jako pierwsze właściwie powstały bez projektu. Doszłam do wniosku, że wbrew pozorom taki stan wcale nie pozwala na większą swobodę w podejmowaniu decyzji co wyciąć, co zachować, a taka decyzja jest przecież w linorycie nieodwracalna. Projekt umożliwia korekty na bieżąco, pomaga przy cięciu, łatwiej można zbudować iluzję przestrzeni, wprowadzić kolorystyczne i linearne zamieszanie nie posługując się tylko i wyłącznie konturem, linoryt jest wtedy bardziej nieokiełznany, nieprzewidywalny, szalony. Raczej się wyłania niż powstaje. A powstawanie grafiki to dla mnie cały proces. Najpierw wszystko długo buduje się w głowie, w chwilach różnych: na spacerze, w pociągu, na koncercie T. Stańki („Jazz” [str. 259]), myśli są przenoszone na papier i tworzy się rysunek, szkic, collages, który może stać się projektem. Dopiero wtedy następuje cały proces technologiczny, w momencie kiedy właściwie wszystko, łącznie z technologią, jest wymyślone i mechanicznie działają tylko ręce. Bez projektu cały ten długi ciąg czynności uległ skróceniu i przyspieszeniu, co stało się na tyle dla mnie kuszące, iż postanowiłam potem wykonać jeszcze dwie prace projektując właściwie po uprzednim przemyśleniu bezpośrednio na matrycy. Obawiałam się jednak, że takie działanie może nieść ze sobą pewien automatyzm, wykorzystywanie ogranych, starych pomysłów, dlatego przyrzekam sobie, że projekt jednak będzie u mnie istniał. Choć grafiki „Męski raj-d” [str. 285] oraz „Jeździec bez głowy” [str. 284] na XII Konkursie Graficznym im Józefa Gielniaka otrzymały Nagrodę Równorzędną.

Warunki lokalowe na naszej Uczelni sprawiły, że dość często miałam kontakt z technikami wklęsłodrukowymi. Stąd praca „Jabłkowity nosorożec” [str. 299], która była dla mnie pionierska, gdyż powstała w technice linorytu kolorowego w połączeniu z intaglio na matrycy ze zwykłego linoleum. Odbicie

wkłęśłodruku z linoleum wymaga użycia bardzo rozcieńczonej farby, inaczej nie można jej zetrzeć z matrycy. Gdy farba jest niedokładnie z matrycy starta, przy zdejmowaniu po prostu przykleja się do papieru, niszcząc go. Do odbicia używamy namoczonego papieru, który mokry przyjmuje inne rozmiary. Po wyschnięciu – kurczy się, a chęć odbicia linorytu kolorowego z tej samej matrycy wymaga nieustannego moczenia papieru, gdyż inaczej nakładany kolor nie pokrywa się z kształtami już istniejącymi na papierze. Niestety odporność papieru akwafortowego na namaczanie jest ograniczona i przy piątym moczeniu, czyli nakładaniu kolejnego koloru papier rozwarstwa się. Mnożące się trudności technologiczne na moment ostudziły moje chęci działania na polu wkłęśłodruku. Choć do tematu nosorożca zapożyczonego oczywiście od samego mistrza zamierzam jeszcze powrócić. Albrecht Durer podobno zresztą przy pracy nad swoim rhinoceros posługiwał się naukowymi tekstami dostępnymi w owym czasie, a opisującymi zwierzę i korzystał z nowo zdobytej przez podróżników wiedzy, ale miał również dostęp do średniowiecznych bestiariuszy. Świadczyć o tym może fakt, iż umieścił na głowie nosorożca róg, czyniąc go jednorożcem. Ciekawostką jest, że przez ponad 200 lat taki właśnie wizerunek ilustrował naukowe dzieła, a w roku 1956 stał się natchnieniem Salvadora Dalego dla rzeźby *Rinoceronte vestido con puntillas* (FOCUS „Róg niezgody” Konrad Bielecki”).

W pracy „Dom dusz” [str. 291] postanowiłam więc połączyć linoryt kolorowy z algrafią czego doświadczałam już wcześniej, ale jest to jedna z nielicznych moich grafik bez ludzi i stworzeń. Choć ich zadanie według mnie przejęły meble porozstawiane gdzieś przez szalonego projektanta, które sprawiają wrażenie żyjących i będących w ciągłym ruchu. Praca podzielona została na cztery części kolorystyczne i tak też była odbijana, środkowa część to stare okno odbite w technice algrafii z wykonanego przeze mnie zdjęcia. Grafika została wydrukowana na papierze firmy Arches. Podkreślam to, gdyż zaczęłam coraz większą wagę przywiązywać do podłoża, na którym drukuję. Stało się dla mnie ważne nie tylko jak drukuję, ale i na czym? Urzekł mnie papier jakiego zwykle używa się przy technikach wkłęśłodrukowych. Z wyglądu sprawia wrażenie grubego, solidnego i tu nic bardziej mylnego, gdyż przy lekkim uderzeniu pęka, nie można go dowolnie rolować. Trzeba bardzo uważać, by go nie złamać, co zmusza do pewnej dyscypliny przy odbijaniu. Jednocześnie po zwilżeniu jest bardziej chłonny i lepiej od zwykłego przyjmuje, pochłania farbę, a odbitki wyglądają na nim szlachetnie. Grafika „Dom dusz” była eksponowana na The 8th International Triennial Exhibition of Prints w Japonii.

W szkole średniej razem z babcią mamy taki rytuał: babcia gotuje, smaży, wypieka – ja czytam jej wtedy na głos książki. Przerabiamy w ten sposób mnóstwo lektur. Babcia uwielbia biografie, a wie, że ja interesuję się malarstwem. Podsuwa mi więc: Irvinga Stone’a „Udręka i ekstaza”, Davida Weissa

„Nagi przyszedłem”, Joanny Guze „Impresjoniści”. Postanawiam więc zdawać do PWWSSP, dostaję się za pierwszym razem, co do tej pory poczytuję sobie za mój spory sukces. Ja, osoba spokojna wg mojego nauczyciela rysunku jestem spontaniczna i ekspresyjna, mam gest – podoba mi się to, pociąga mnie wizja „szalonego artysty” z rozwianym włosiem, na zewnątrz spokojnego, w środku gdzieś kipiącego z emocji, który w pośpiechu rysuje wszędzie i na wszystkim, jak to czynił np. Amadeo Modigliani. I kompletnie nie przewiduję, że nie będzie mi dane chodzić z pędzlem i krosnami, tylko dźwigać linoleum i być kimś w rodzaju artystycznej księgowej. Bo mam wrażenie i odpowiada mi to, że cały proces odbijania jakiegokolwiek techniki graficznej jest ściśle wyliczony, trzeba być bardzo zdyscyplinowanym, by odbić porządnie (pomijam tu świadome działania wbrew regułom). Praca musi być dobrze zorganizowana, ergonomia ma tu również zastosowanie. Potrzebne są: prasy, wałki, szpachelki – nic co kojarzy się z „prawdziwym artystą”. I mimo, iż przygotowując pierwsze grafiki nie wiedziałam, że właśnie dokonuje się wybór mojej drogi życiowej – odczuwam pełnię szczęścia artystycznego, bo natknęłam się, całkowicie przez przypadek – na linoryt. Mimo tylu lat posługiwania się tą techniką ciągle uważam, że jest fascynujący. Przy całej swojej technologicznej prostocie stwarza możliwości dla każdego rodzaju wypowiedzi. Być może jak uważają Japończycy od czasów powstania ukiyo-e magia tkwi w samym procesie. Ważnym elementem jest też matryca, z której odbijamy, a której zmieniającą się kolorystyką jestem niezmiennie zachwycona. Samo dłubanie, skubanie dla mnie jest wręcz zajęciem automatycznym, przy którym można spokojnie zajmować się obmyśleniem kolejnej pracy. Wszystko tak jak wspomniałam ustaliłam sobie przecież już wcześniej. Dla mnie jednak osobiście ważny jest sam efekt końcowy. Przyznaje moje matryce ponieważ się gdzieś bezpiecznie, wiórków z linoleum też nie zbieram. Na początku mojej pracy z linoleum wiernie trzymałam się projektu, teraz podczas odbijania mój misternie ułożony plan nieraz wali się, gdyż dostrzegam nowe możliwości ekspansji linorytniczej, które skwapliwie staram się wykorzystać. Dzięki nabytemu doświadczeniu zachowuje się bardziej być może nonszalancko, ale i spontanicznie, co jest potrzebne, by uniknąć rutyny. Odnoszę wrażenie, że po nabiciu ostatniego koloru, ostatniej odbitki mój organizm wydziela dopaminę, taki hormon szczęścia jak u biegacza po przebyciu maratonu.

Linoryt przyniósł mi też rodzaj wyzwolenia. Zniewolona, choć wtedy tak tego nie odczuwałam w czasach studenckich przez malowanie niezliczonej ilości kubków, materii, piersi i nóg, które nigdy nie miały właściwych proporcji, pozwolił mi odkryć, że posiadam – wyobraźnię. Mam coś, co „uważane jest za Dar Boży, jest elementem myśli, procesu poszukiwań, twórczości i geniuszu, ... jest czynnością umysłu i umiejętnością psychiczną” („Sztuka wyobraźni” Walter Schurian). Fantazja stała się dla mnie jako artysty bardzo ważna, jest moim wyróżnikiem, stała się wręcz niezbędna. Lubię jej używać, dzięki

niej tkam z kolejnych prac swój Świat. „Kogut w różanym ogrodzie” [str. 292], „Zielony koń” [str. 298], „Polowanie” [str. 301], „Okapi” [str. 302] – wszystkie te grafiki są wykonane w technice linorytu kolorowego na płytę traconą metodą Picassa. Wielkość 70 x 100 cm kiedyś będąca wielkim wyzwaniem stała się dla mnie formatem niejako podstawowym, stawiając sobie nowe cele w technologii, szukałam czegoś większego, idealnego do moich zamierzeń („Komu bije dzwon?” [str. 277], „Kobiety” [str. 246]). Format 135 x 95 cm jest dla mnie odkryciem i spełnieniem marzeń o dużej grafice, która ma swoją moc. Uważam zresztą, że małe kolorowe linoryty nie mają takiej ekspresji, siły wyrazu, choć dość chętnie je swego czasu wykonywałam (seria prac 10 x 10 cm: „Anioł się bawi” [str. 227], „Anioł odpoczywa” [str. 226], „Anioł płacze” [str. 226], „Pszczelarz” [str. 285], „Ogrodnik” [str. 284], „Rycerz” [str. 284]). Być może miniatury są dla mnie czymś w rodzaju odskoczni, nie lubię rutyny. Na pewno pokuszę się, by doświadczyć, o kolejny wielkoformatowy eksperyment. Cztery te grafiki to trzon mojej pracy habilitacyjnej. Stwory te utożsamiają dla mnie otaczającą mnie naturę, mają dla mnie znaczenie symboliczne. Są dla mnie ważne, są przełomem. Jestem dumna z moich bestii. Mój tata chciał zostać leśnikiem, zabierał mnie na długie leśne przechadzki z opowieściami o zwierzętach, w domu zawsze mieszkał z nami jakiś pies, filmy przyrodnicze były jak bajki Disney’a, a ja nie tylko, że próbowałam na papierze odtwarzać zwierzęta, to od zawsze moją pasją zupełnie bez wzajemności było jeździectwo. Te wielkie stwory utożsamiają dla mnie Naturę. To co w niej piękne, tajemnicze, nieujarzmione. Spokój, dostojeństwo które z niej emanują. Otacza nas świat przyrody czy tego chcemy, czy nie. Krajobrazy, roślinność, koń w galopie, uwielbiana przeze mnie plaża i morze, gdzie znajduje bursztyny. Świat dostępny bez specjalnych kosztów, niewymagający wystarczy tylko go dostrzec, zauważyć, zachwycić się i pomyśleć, co uczynić, by przetrwać?

Trzy prace uczestniczyły w I Triennale Sztuki Pomorskiej w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie. „Kogut w różanym ogrodzie” [str. 292] był prezentowany na Wystawie Głównej Międzynarodowego Triennale Grafiki w krakowskim Bunkrze Sztuki. Linoryt „Polowanie” [str. 301] zdobył I Nagrodę w konkursie na Pomorską Grafikę Roku 2013.

Ukończyłam kierunek: malarstwo, ale muszę to wyznać, że pierwsze obrazy, które sobie cenię powstały dopiero kilka lat temu. To linoryt kolorowy właśnie był i do tej pory jest moim malarstwem. Pędzel to dłutko, prasa graficzna, krosna malarskie to matryca. Kolory farb graficznych są czyste w całej swojej masie i o takiej samej konsystencji, nie ma problemu z ich mieszaniem i otrzymaniem nowych. Gdy maluję, postępuję podobnie jak w grafice – nakładam kolejne warstwy koloru, myślę o obrazie zawsze jako o całości. Proces malowania jest bez porównania szybszy, mniej zawiły technologicznie, efekt widoczny jest natychmiast, ale zasada pozostaje niezmienna. Choć istnieje w mojej kreacji podstawowa różnica. Podczas, gdy grafika jest od początku do

końca pod kontrolą technologiczną a i tak efekt jest nie do przewidzenia, to obraz mam wrażenie, że powstaje trochę obok mnie, poza moim wpływem. Ja tylko trzymam pędzel i próbuję go na płótnie odkryć, a On przyczajony gdzieś, śmieje się nieraz ze mnie w głos, nieraz cichutko, dopóki On nie zdecyduje, jak chce wyglądać i kiedy mi się ukazać. Nie wiem jaki wpływ i czy w ogóle w przyszłości będzie miało malarstwo na moją grafikę, wiem, że w ostatnim czasie grafika dała mi przyjemność odkrywania obrazów na płótnie.

Każda technika graficzna również malarstwo ma w sobie coś charakterystycznego, cechę specyficzną tylko dla niej. W przypadku litografii na przykład, to możliwość rysowania, lawowania właściwe jak na papierze. Twórca albo stara się ten rys jeszcze bardziej podkreślić lub też posługując się narzędziem zmylić kompletnie odbiorcę wykonując jak np. Marta Gertchen linoryt, który właściwe udaje mezzotintę, czy nawet fotografię. Zależy to od niego samego, jego wyobraźni, zamiarów, umiejętności. Ja często właśnie by pokazać chropowatość odbitki linorytniczej, mięsistą, nierówną jej powierzchnię pełną nasyczonego koloru lubię zestawiać linoryt z innymi technikami graficznymi np. algrafią o gładkiej, lekkiej powierzchni nadruku. Jest to nie tylko wyzwanie techniczne, kiedy pojawiają się pytania, co odbić pierwsze, jak przygotować i dobrać do siebie matryce? To także rodzaj zagadki, zestawienie dwóch technologii musi znaleźć przecież swoje uzasadnienie tematyczne. Litografia, algrafia, sucha igła kuszą mnie też możliwościami innego traktowania rysunku, kreski. Podsuwają nowe rozwiązania, wzbogacają moje doświadczenie. Dlatego powstały takie prace jak: „Ręczne tortury” [str. 311], gdzie swobodnie traktowany pejzaż stanowi tło dla skomplikowanej konfiguracji kresek budujących uwieczoną rękę czy grafika „Leonardo” [str. 310]. Ta ostatnia praca otrzymała wyróżnienie na 42 Premio Internazionale di Grafica del Pomero we Włoszech. Myślę, że w dzisiejszej dobie, gdzie na konkursach graficznych, aż roi się od prac w technikach łączonych należy zachęcać także studentów do praktyk tego rodzaju.

Jak wspominałam miałam częsty kontakt z Pracownią Wklęsłodruku na naszej Uczelni w związku z tym nie mogłam nie wykorzystać okazji i nie spróbować przynajmniej zaznajomić się z tymi technikami. W ten sposób powstała seria niewielkich akwafort, akwatint: „Konik” [str. 305], „Tort rybny” [str. 303], „W kołnierzykach” [str. 304] – jedna z tych prac zostanie zaprezentowana na XV Międzynarodowym Biennale Małej Formy Graficznej i Ekslibrisu w Ostrowie Wielkopolskim. Odrobinę większe wklęsłodruki to : „Wiatrak” [str. 308], „Na mieliźnie” [str. 307], „Krajobraz rolniczy” [str. 306]. Są to wszystko, jak na mnie nietypowe grafiki, bo czarno – białe. Nakładanie „tinty” to taki może niepełny substytut koloru. Efekt działań na blasze jest również nie do przewidzenia, mnóstwo współczynników decyduje o sukcesie procesu np. kwas do trawienia. Nie mogę się natomiast oswoić i pogodzić z myślą, że właściwie moją misternie rysowaną matrycę mogę poprawiać bez końca. Chcę wiedzieć, że zakończyłam działanie, drukować od razu cały nakład, bez odbitek próbnych

i wstępnych, by sprawdzić efekt, pragnę od razu oglądać gotowe odbitki, być z nich mniej lub bardziej zadowolona, ale nie mogę żyć w niepewności, że właściwie stale coś mogę poprawić – to nie jest zgodne z moją artystyczną naturą, którą ukształtował w dużej mierze linoryt kolorowy na matryce tracącej. Dlatego z chęcią, czułością niemalże mimo podejmowanych od czasu do czasu prób wracam do czystego linorytu kolorowego. Pragnę po eksperymentach utwierdzić się w przekonaniu, że nie zapomniałam jak się go wykonuje i w takim właśnie momencie powstały prace takie jak: „Stadnina koni” [str. 300], „Tajlandzki słownik” [str. 312], „Hazard” [str. 309].

Uważam, że miałam dużo szczęścia, iż na swojej drodze studenckiej trafiłam na mądrych ludzi, moich asystentów z Pracowni Grafiki Warsztatowej: Zbigniewa Gorlaka i Waldemara Marszałka. Całkowicie oddani nam – studentom służyli radą i pomocą. Bardzo korzystaliśmy na tym, że nasi wykładowcy pracowali w naszej obecności. Mogliśmy ich podglądać przy pracy, ucząc się. Widzieliśmy, że grafika to ich pasja. Ich litografie stanowiły dla nas niedościgniony ideał. Gdy zostałam pedagogiem celem moim stało się, by ten przykład kontynuować. Też pracuję przy studentach. Mam wrażenie, że wtedy tworzy się jakiś inny rodzaj kontaktu, nie uczeń – nauczyciel, ale stajemy razem ramie w ramię ze studentem w szranki z grafiką i lepiej się poznajemy. Prof. Czesław Tumielewicz z mojego profesora stał się moim bezpośrednim przełożonym, rodzajem mentora i takim poczynaniom przyklaskiwał. Cenię sobie „Tumielową” dziecięcą wprost radość z poznawania nowych metod odbijania, pracowitość i energię jaką niezmiennie od lat dysponuje poświęcając się tworzeniu. Gdy zaczęłam pracę na Uczelni to od Profesora nauczyłam się jak poradzić sobie z dużą grupą studentów, jego pytałam o zawiłości uczelnianego życia. Pracownia Podstaw Grafiki Artystycznej, w której miałam przyjemność być asystentem była nie tylko miejscem gdzie studenci zdobywali swoje pierwsze graficzne szlify, ale i poligonem doświadczalnym dla mnie, gdyż zanim studenci otrzymali zadanie wszystko najpierw musiałam przetestować na sobie. Kopalnią pomysłów na nowe zadania były konkursowe katalogi, wystawy. Były to zajęcia prowadzone na I roku studiów, taki wstęp do grafiki, gdzie staraliśmy się, by zanim student trafi do pracowni specjalistycznych liczył też metod pracy trochę niekonwencjonalnych, poznał rodzaje grafiki, z którymi być może później nigdy nie będzie miał możliwości się zaznajomić. Dzięki temu ja zapoznałam się z grafiką stojącą na granicy z malarstwem: monotypią. Wykonałam kilka prac w technice suchej igły, na pleksi i na miedzi. W celu stworzenia ryty na miedzi zrobiłam nawet specjalną poduszkę/podkładkę wypełnioną piaskiem, podpatrzoną u znajomego rzemieślnika. Po warsztatach przeprowadzonych w naszej Uczelni przez prof. Pawła Frackiewicza uczyliśmy studentów aligrafii, którą z powodzeniem łączyli z suchą igłą. Studenci na matrycach przygotowanych przez mnie wykonywali również gipsoryty wzorując się na pracach prof. Ryszarda Otręby. Po zakupie urządzenia wielofunkcyjnego typu Dremel

postawiliśmy przed naszymi podopiecznymi zadanie – linoryt 70 x 100 cm. Odbicie tej wielkości matrycy dla studentów I roku jak i dla nas było nie lada wyzwaniem. Wykorzystując wiedzę naszego kolegi Dominika, który pokazał nam metodę odbijania wkłęsłodruku z użyciem korundu i suchej igły studenci nasi wykonali kilka przepięknych prac, powstało mnóstwo colografii.

Myślę, że te wszystkie próby nieraz kończące się fiaskiem nie tylko wzbogaciły moją wiedzę technologiczną, rozwinęłam się jako artysta, również jako nauczyciel mogę moim studentom służyć bardziej wszechstronną wiedzą, być lepszym pedagogiem. I coraz bardziej przekonuję się, że podstawowa zasada w pracy ze studentem to: „Nie przeszkadzać!”. Ponieważ drzemie we mnie duch eksperymentatora graficznego, przecierającego nieznane i nowe szlaki, te wszystkie nabywane doświadczenia nie były dla mnie męczące. Dzięki nim eksplorowałam różnorodne światy graficzne, by jak strudzony wędrowiec powracać do ukochanego ciepłego domu, z głową nabitą pomysłami – do linorytu.

Linoryt kolorowy na płytę traconą był również zadaniem, które rokrocznie przeprowadzałam z pierwszorocznymi studentami, czyniąc to nie bez pewnych obaw o efekty i zastanawiając się, co zwykle mi towarzyszy, jak dalece mogę ingerować w czyjeś działanie, w jaki sposób nauczyć nie naruszając, nie niszcząc czyjeś artystycznej indywidualności? Szczegółowo opowiedziałam o tym na Sympozjum/Konferencji „Linoryt w XXI wieku i co dalej?”, która odbyła się w styczniu 2014 roku na naszej Uczelni, wygłaszając wykład pt. „Skok w linoryt kolorowy”. Tekst wykładu zamieszczam poniżej.

„SKOK W LINORYT KOLOROWY”

Od 2007 roku byłam asystentem w Pracowni Podstaw Grafiki Artystycznej prowadzonej przez prof. Czesława Tumielewicza.

Studenci nasi to byli ludzie bardzo młodzi, będący na początku drogi życiowej, artystycznej, studenckiej wreszcie, zwykle bez żadnego doświadczenia w dziedzinie grafiki artystycznej. Tak więc musieliśmy ich zaznajomić nie tylko z podstawowymi terminami jak matryca, wałek graficzny, to już jest wyższy stopień wtajemniczenia. Ale zupełnie na początku mówiliśmy, że tajemnicze puszeki w szafce zawierają farby graficzne, że nakładamy je szpachelkami, a usuwamy rozpuszczalnikiem, że w naszej Pracowni bardzo łatwo o pobrudzenie się, dlatego przydają się ubrania robocze itp. – to był taki zupełny wstęp.

Jednym z zadań w Pracowni było wykonanie linorytu kolorowego metodą Picassa na tzw. płytę traconą. Z doświadczenia wiem, że tłumaczenie laikowi kolejnych etapów powstawania linorytu kolorowego jest z góry skazane na porażkę, ciężko o błysk zrozumienia w oczach słuchacza. Po prostu cierpliwie prosiliśmy naszych studentów o przygotowanie projektów, czyli tak od razu fundowaliśmy im „skok na głęboką wodę” czyli w linoryt kolorowy – zbyt wie-

le nie tłumaczyliśmy – nie wiedzieliśmy na co ich stać, jakie są ich cele i możliwości, oni sami nie mieli o tym pojęcia.

Jeśli chodzi o tematy linorytów kolorowych – były ściśle określone na każdym roku. Pierwszym naszym tematem był „Don Kichot”, kolejne to: „Raj”, „Arka Noego”, „Adam i Ewa w raju”, „Sąd Ostateczny”. Formaty prac to 45 x 65 cm – przy takim formacie można już poczuć, że zrobiona została praca, a jeszcze nie przerasta nowicjuszy – to taki optymalny format.

Ja uważałam i tak sędzę do tej pory, że dla niedoświadczonego linorytnika, debiutanta właściwie, działanie bez dość szczegółowego projektu jest bezcelowe, bo nie powstanie piękny, przebogaty linoryt kolorowy składający się z czterech, pięciu kolorów, a o taki nam przecież chodziło. Nie można prowadzić dłutka zgodnie z nagłym impulsem, trzeba przewidywać i dokładnie wiedzieć gdzie i kiedy mają się pojawić żądane formy. Do tego potrzebujemy projektu.

Nasz projekt miał być przebogaty w wymyślne faktury i kształty, interesujący w formie. Gdy został on zaakceptowany i należało wyciąć linoleum czułam się wtedy jak czarodziej, bo jakież następowało zdziwienie, gdy okazywało się, że wystarczy lekko naciąć linoleum i czary – mary! Dzieli się ono dosłownie jak papier i staje się matrycą, którą należy traktować z pietyzmem jak ciepłolubnego stwora, który kiedyś się nam odwdzięczy. Projekt przenosiliśmy przy pomocy zwykłej, fioletowej kalki biurowej i poprawialiśmy rysunek grubym markerem permanentnym.

Sam czas cięcia linoleum to czas okupiony paroma skaleczeniami i plastrami. Nigdy nie demonstrowaliśmy sposobu wycinania, licząc na pomysłowość studenta, by go nie ograniczać. Być może wymyśli swoją własną, ergonomiczną i niepowtarzalną metodę.

To jest drugi powód dla którego swoją opowieść nazwałam „skokiem”, bo w linoryt nie można wejść powoli delektując się każdym krokiem, ale z miejsca należy podejmować wiążące decyzje: co wyciąć, które obszary powinny zachować biel kartki, które wytniemy przy następnym cięciu – cięcie, wycięcie, wyżezanie, wyrucie – język polski nie jest przyjazny i nie oddaje precyzji tej czynności. To jest w każdym razie czynność nieodwracalna, nie można przywrócić stanu poprzedniego, to jest niemożliwe. Wycinanie – to jest działanie na żywym organizmie czyli na matrycy, bez możliwości reanimacji matrycy. Trzeba wykonać pierwszy krok – skok i.... zacząć skubać.

Nie chciałyśmy być zrozumiana opatrnie, że zostawialiśmy studenta samemu sobie i męcz się tu człowieku sam i my tylko od strony technicznej zadbamy o Twój linoryt, podpowiemy gdzie kupić i jak naostrzyć dłutka, zwrócimy uwagę, że praca ma być naokoło niepobrudzona, kolejne kolory nieprzesunięte i jak to zrobić? Nic bardziej mylnego, tylko chyba razem z profesorem Tumielewiczem zgadzaliśmy się, że przez praktykę do teorii, bez pobrudzenia się przy prasie, nabicia kolejnego koloru samemu, obejrzenia efektów swojej pracy, przez działanie nabywasz doświadczenia.

I wtedy kiedy student wie, o czym mowa, bo nabił kolejny kolor i nie jest zachwycony, bądź odwrotnie – rozmawiamy, tłumaczymy, pokazujemy przykłady, podsuwamy pomysły. Kreator dysponując wtedy jakimś tam doświadczeniem własnym mam wrażenie, że jest bardziej świadomy, pojmuję, o czym mówimy, czego od niego wymagamy, poznaje powoli swoje możliwości.

Te realne możliwości można poznać pracując ze studentem dopiero na wyższych latach. To na pewno duża satysfakcja. Choć, gdy my oglądamy, a zawsze towarzyszy temu ciekawość z naszej strony, osiągnięcia studentów szczególnie te dyplomowe, to tkwiący gdzieś w nas belfer tak po trosze czuje się dumny, że ten pierwszy linoryt powstał jednak w Pracowni Podstaw.

Sam proces odbijania linorytu, technologia jest stosunkowo prosta. Kłopoty zaczynały się zwykle dopiero przy drugim kolorze. Kiedy trzeba równo nałożyć, trafić w kolor poprzedni. I zwykle po drugim kolorze pojawia się wśród studentów ulga – ojej! Jakie to nieskomplikowane, faktycznie tłumaczenie tego, jak wykonać linoryt kolorowy na płytę traconą trwa dłużej.

Z reguły odbijaliśmy kolory w kolejności od najjaśniejszego, potem ciemniejszy itd., choć zdarzały się też odstępstwa od tej formuły. Osoby wrażliwe na kolorystyczne doznania mieszały farby długo i z pietyzmem, ciągle niezadowolone z osiągniętego efektu, pozostali zaś szybko i bez zastanowienia nakładali kolor ku mojemu przerażeniu wprost z puszek.

Zwykle studentom bardzo trudno było przyjąć do wiadomości fakt zaistnienia śladu narzędzia, śladu dłuta, które może nadać pracy dynamikę, określić formę, materię, a już szczególnie trudno zaakceptować było ślad narzędzia na ciele, twarzy. Wszyscy regularnie i skwapliwie usuwali kreseczki lub kropczeczki wycinając linoleum „do skóry, czyli aż do dziur”, zamykając sobie w ten sposób drogę do odnalezienia swego indywidualnego gestu dłuta – długo trzeba ich było przekonywać, że właśnie to rzecz charakterystyczna dla linorytu i wielce pożądana.

Pragnęłam, by wykonując te swoje pierwsze prace nie tyle nasi studenci osiągnęli mistrzostwo technologiczne, o to ciężko przy pierwszej pracy, bo zdarzały się i niepowodzenia – nieodłączne przesunięcia, brudy, zagięty papier, za duży docisk, ale nabyli doświadczenia, zapoznali się ogólnie z językiem graficznym, metodami pracy, by poczuli potrzebę dalszego zagłębienia się w świat graficzny, bawili się tą pracą z linoleum i kolorami. Chciałam, by to projektowanie, dłubanie wszystkim sprawiało frajdę, taka nauka przez zabawę – trochę jak w przedszkolu – bo ten I rok to takie przedszkole graficzne przecież.

Dążyłam też do tego by studenci uwierzyli, dość nieprzyzwyczajeni do prac manualnych, obcy za to, wprost zżyci z komputerem i jego możliwościami, że wytwór ich rąk i umysłów może dać niekoniecznie idealny, lecz fascynujący efekt, że można zachwycić się nieregularnością faktury, kożuchem farby, że mimo, iż ciężko perfekcję osiągnąć warto do niej dążyć.

Tu muszę wspomnieć, że od roku 2009 prowadzę również autorską Pracownię Podstaw Grafiki Artystycznej na I roku Studiów Niestacjonarnych.

Moja grupa pierwszoroczników liczyła sobie na początku 22 osoby.

I tu poczytuję sobie za sukces, bo było to dla mnie wyzwaniem wprost fizycznie wyczerpującym, że studenci ci początkowo niechętnie, potem z coraz większym zacięciem odbijali w trzech pracowniach, korzystając z pięciu pras. Zajęcia odbywały się nawet na korytarzu, dosłownie każde miejsce było wykorzystane by rozrobić farbę. A studenci studiów niestacjonarnych to ludzie niekiedy z niemałym już doświadczeniem życiowym, ustalonymi zasadami, przyzwyczajeniami.

Studia w trybie niestacjonarnym to oczywiście też przeglądy i zaliczenia i identyczne kłopoty, wzloty i upadki w trakcie pracy z linorytem. Niestety z racji o wiele mniejszej ilości czasu do dyspozycji wprowadziłam mniejszy format zadań: 28 x 38 cm.

Proszę też pozwólcie mi na osobistą dygresję. Zawsze, gdy witam się z nowymi studentami i widzę ich pierwsze potyczki z prasą gdzieś tam myślami powracam do swoich studenckich pierwszych kroków, do pierwszego linorytu, który był zarazem pierwszym widzianym przeze mnie linorytem kolorowym, co uświadomiłam sobie zupełnie niedawno. Byłam szczęśliwa, że w ogóle udało mi się wykonać zadanie postawione przede mną, ale sam linoryt nie wywołał we mnie zbytnej egzaltacji. Z początku wydawało się to trudne i żmudne, nieśmiała fascynacja, a potem szczere przywiązanie do linorytu pojawiło się nie od razu, tylko narastało wraz z kolejnym zakończonym linorytem kolorowym, pierwszym wyróżnieniem w konkursie, zaczęło być pasją, sposobem na życie.

Przez naszą pracownię przewinęło się około 250 studentów. Chciałam by udało mi się zarazić ich moją pasją, by sami chcieli doświadczać przygody z linoleum i kolorami.

K O N I E C

Uczelnia to duży organizm, by sprawnie funkcjonował potrzeba działań mnóstwa ludzi na wielu polach. Praca nauczyciela akademickiego dla mnie to przede wszystkim efektywne nauczanie studentów, ale też umiejętność komunikowania się, otwartość na ludzi, punktualność, kultura osobista oraz wszelkiego rodzaju działania organizacyjne. W moim przypadku to nie tylko organizacja wystaw semestralnych, wernisaży. Od sześciu lat jestem sekretarzem egzaminów wstępnych. Co rokrocznie, niezmiennie jest dla mnie niemałym wyzwaniem i przyczyną stresu z powodu spoczywającej na mnie odpowiedzialności. Przecież moja pomyłka może zdecydować o czyjś losach. We wrześniu co stało się jesienną tradycją, gdyż ma to miejsce od lat czterech, organizuję i prowadzę plener dla naszych studentów w przepięknie położonej

stadninie koni. Wychodzę z założenia, ponieważ uczestnikami są studenci będący po I roku naszego Wydziału, że być może jest to nie tylko ich pierwszy, ale i ostatni kontakt niektórych z nich z malowaniem plenerowym. Zachęcam i staram się, by zmierzyli się z tym trudnym zadaniem, dopingując ich działania. Efekty są niekiedy zadziwiające. Od lat pięciu organizuje również nasze wydziałowe Spotkania Wigilijne łącznie z tradycyjnym śpiewaniem kolęd i poczęstunkiem. Byłam organizatorem konkursu wewnątrzuczelnianego na Studencką Grafikę Roku, recenzentem prac magisterskich. Jestem członkiem Uczelnianej Komisji Stypendialnej oraz Uczelnianej Komisji Wyborczej, protokolantem postępowań profesorskich, habilitacyjnych i doktorskich. W roku 2011, 2012 byłam komisarzem wystawy organizowanej przez naszą uczelnię „Najlepsze dyplomy Akademii Sztuk Pięknych”. W roku 2007 i 2008 brałam udział w Ogólnopolskiej Konferencji Środowisk Akademickich w Luboradowie, w roku 2012 w Dłużewie. W roku 2011 wygłosiłam w Muzeum Okręgowym w Bydgoszczy wykład pt. „Jedność z wielości”. A w ubiegłym zorganizowałam „wystawę pożegnalną” prof. Czesława Tumielewicza związaną z jego przejściem na emeryturę oraz wystawę w pierwszą rocznicę śmierci naszego kolegi „Krzysztof Cybulski – po”.

Czasami czuje się nie tylko artystą, ale i urzędnikiem, nie mogę też zapomnieć o swoim życiu osobistym. Mam córkę, męża i rodzinę. Jestem uwikłana w różnego rodzaju konstelacje, układy rodzinne, zależności służbowe i inne wynikające z w/w funkcji. Choć staram się powierzone mi zadania wykonać rzetelnie, z pełnym poświęceniem, niekiedy miotam się jak w potrzasku narzekając na brak czasu, zwykłej ochoty, staję bezradna. Jedyne Grafika daje mi Wolność Tworzenia i być może siłą by temu wszystkiemu sprostać tworząc własny świat, do którego wszystkich chętnych serdecznie zapraszam.

„Celem sztuki nie jest przedstawienie rzeczywistości, ale tworzenie swoich własnych światów.” Fernando Botero

Dr Magdalena Hanysz-Stefańska

